

Znakomite opowieści o Romach Lidii Ostałowskiej po kilkunastu latach od pierwszego wydania wciąż nie tracą na aktualności. Niestety. Mimo upływu lat, zaangażowania prywatnych organizacji i międzynarodowych agend sytuacja Romów wciąż pozostaje zła, nierzadko zmienia się na gorsze. Żadne z postkomunistycznych państw nie wypracowało dobrego modelu współistnienia z mniejszością romską, która - na co dzień niewidoczna - przypomina o sobie niemal wyłącznie w nagłówkach alarmujących newsów: deportacje z Francji, budowa gett na Słowacji, zakaz zebrania w Polsce. *Cygan to Cygan* pokazuje złożoność środowiska romskiego, na którą nakładają się mentalność gadziów i tożsamość narodowa państw, w których żyją Limalo, Marika, Ziutek, Badzio, Romek i wielu innych, z paszportem polskim, bułgarskim, serbskim, węgierskim...

Przeczytaj fragment

Limalo szuka prawdziwych cyganów

Polski Cygan Limalo jedzie do Rumunii. Chce zobaczyć wioski Wyżyny Transylwańskiej i zejść na dno cygańskiej nędzy. Bo może w tej krainie głodu tętni życie, za którym tęskni. Może Cygan kocha tam jeszcze Cygana. Limalo wybiera się do Sybina. Mieszka tam cygański monarcha Ion Cioabă. Jest ulubieńcem rumuńskiego prezydenta. U wiedeńskich złotników król zamówił sobie kilogramową koronę, potem puścił się w podróż po stolicach świata. Przyjęła go nawet angielska królowa.

– Napluję mu do mordy – zapowiada Limalo.

Cygan to Cygan. Węgierski nauczyciel, mołdawski pastuch, filozof ze Słowacji, krawiec z Czech – wszyscy są braćmi. Tak myśli Limalo. Chce, żeby w tej rodzinie było miejsce dla żebraka. Jedzie, a po powrocie ma zamiar powiedzieć: „Rumuńskie Cygany biedne są, ale uczciwe. Ja tam byłem”.

W Comăna de Jos cygański obszar to skraj wioski. Od przystanku idzie się wzdłuż obejść, które należą do gadziów, czyli obcych.

Ich domy są zielone albo żółte, pomalowane dawno temu. Rolety zaciągnięte. Blżej tamy stoją zabudowania Cyganów. Można je poznać po śladach na tynku, metr nad gruntem. Spiętrzona woda co roku wylewa. Cygańskie domy do niedawna były mniejsze niż rumuńskie. Teraz dobudowano do nich nowe izby, a okna zabito deskami. Cyganów nie ma. Wyjechali do Polski na żebry. Zostało tylko kilka rodzin. Na ostatnim podwórku przed tamą stoi krzesło. Na krześle poduszka, żeby było miękko. Na poduszce Limalo. Limalo jest Kelderaszem. To grupa cygańskich kotlarzy. Wywodzą

się z Wołoszczyzny i Mołdawii. Byli tam niewolnikami bojarów wystawianymi na sprzedaż. Rumuńskie słowo robi, czyli niewolnik, do dziś oznacza tam Cygana. W połowie ubiegłego wieku zniesiono niewolnictwo. Wkrótce hordy oswobodzonych Cyganów ruszyły na zachód i północ. Najpierw pojawili się w Galicji, potem na innych polskich ziemiach. Wielu zostało. Wśród nich przodkowie ojca Limalo.

Limalo ma pod Warszawą willę z wieżyczką, rodzinę, prowadzi interesy. Kilka dni temu wsiadł w pociąg; potem tłukł się autobusami, by spocząć na poduszce w Comăna de Jos. Tu się wychowała jego matka.

– Mama do śmierci nosiła czerwoną spódnicę.

Limalo urodził się krótko po wojnie. Żył w taborze, chodził z matką po wioskach zebrać, wróżyć. Czasem gospodarze szczuli ich psami (do dziś ma blizny na pośladkach), ale zwykle wyciągali grosik. Matka kupowała papier i ołówki.

– Uczyła mnie czytać i pisać po rumuńsku. Opowiadała, jak żyją tamtejsze Cygany.

Nie zobaczyła już rodzinnej wioski. Gdy w latach sześćdziesiątych

gadzie z całej Europy Środkowej i Wschodniej zabronili Cyganom wędrować, dziadkowie Limalo zatrzymali się kilkadziesiąt kilometrów od Comăny. Limalo odwiedził ich z matką. Był jeszcze bardzo młody. Poznał Sofię. Tak się zakochał, że w Polsce kradł, byle do Transylwanii przywozić pierścionki. Odsiedział te cacka, nie kradnie. Sofię wziął daleki krewny, a Limalo rozkręcił handel dywanami. Pomogła mu siostra z Niemiec. Ożenił się i ma już wnuczkę.

Trzy lata temu do podwarszawskiej willi Limalo zapukał młody rumuński obdartus. Sepleniał:

– Psysyła mnie Sofia, moja mama, jestem Danciu.

Limalo cygańskim zwyczajem ucałował Danciu w usta, nakarmił, napił i ubrał. Znalazł mu pracę na czarno.

Po Danciu przyszli następni Cyganie z Rumunii, po nich inni. Prosimi, żeby przyjął ich na parę nocy. Kazał żonie słać łóżka, opróżniać lodówkę. Żądał, by szykowała im jedzenie super. By w jego domu każdy żebrak kładł się do białej, wykrochmalonej pościeli, a czasem nocowało kilkunastu. Musiała biegać dla nich do apteki, prowadzić do łazienki dzieci z wszami. On je strzygł. Tłumaczył żonie:

– Rumuńskie Cygany nie są winne, że siedzą na betonie i unizają swoją godność. Zawiniło ichnie życie.

Żona wyprowadziła się przed rokiem.

Limalo w drodze do Transylwanii powtarza:

– One biedne są, ale uczciwe. Powinniście nie taić, co tam zobaczą wasze oczy.

Podwórko bez trawy w Comăna de Jos, poduszka. Limalo przy świątecznie zastawionym stole. Naprzeciw niego mężczyźni:

Truli, Goca, Calo. Kobiety: Marcella, Tereza i Ewa – rozdmuchują żar w ognisku, mieszają w garnku, potem stają pod splekaną żółtą ścianą.

Pierwszym, który wyjechał do Polski, był Truli. Zaraz po rewolucji grudniowej w 1989. Wcale się tam zresztą nie wybierał, chciał do Niemiec. Wciąż chce.

– Jakby mi tera dali wizę, to zostawiam ten stół w Comănie, kiełbasę i wódkę.

Próbował przejść zieloną granicę, nie wyszło. Ale przekonał się, że i w Polsce można zarobić. Dał cynk sąsiadom z Comăny. Jechali autokarami, bo taniej. Bez grosza, bez znajomości języka. Docierali do większych miast. Zimą spali na dworcach, latem koło dworców, na trawnikach. Pałowała ich policja, bili skini, zaczepiali pijacy, przeganiała służba ochrony kolei. Znaleźli sobie bezpieczniejsze miejsca na wysypiskach, pod mostami. Tam starym cygańskim sposobem budowali koliby, mieszkali jak dziadowie. Wyrzebywali dziurę w ziemi i ustawiali konstrukcję z gałęzi ściętych w nadrzecznych chaszczach albo parkach.

Dziadowie poszywali kolibę tkaniną, którą z baraniej przędzy potrafią tkać rumuńscy gadzie, lub oblepiali szalas gliną zmieszaną z końskim łajnem. Teraz musiała wystarczyć tektura, skrzynki po mandarynkach, obżynki papy, kawałki dykty. Kelderasze, którzy nie zapomnieli kotlarskiego fachu, na zwałkach śmieci, przy zajezdniach szukali beczek po ropie. Z każdej robili dwa piece.

Mieli już polskie domy, czasem niewiele gorsze od rumuńskich.

Mieszkali w nich kilka miesięcy. Rano zabierali się do pracy.

Wychodzili grupkami, niosąc rekwizyty: dzieci przy piersi, kule,

białe laski, ciemne okulary. Wracali o zmierzchu objuczeni tobołkami.

Były w nich ciuchy, stare buty, nadgniłe banany, połamane zabawki. Także łopaty, styliska, kanistry, święte obrazki, przetarte dywany, szmatki na wstążki.

Wiele z tych polskich darów jest w Comănie.

Po kilku latach pogranicznicy w Medyce zaczęli robić problemy – odsyłali rodziny z dziećmi niewpisanymi do paszportów.

Marcella, żona Trulego: – Uczyłam córki. Mówiły za mną: „Jestem głodna”, „Pani dobry”, „Pani daj”, głaskały nogę albo rękę.

Przynoszą mi dziesięć marek dziennie.

Truli: – Za Ceaușescu zachrzanialiśmy w kołchozach i na fabrykach. Tu w okolicy jest cementownia, cegielnia, celuloza.

Wyrzucili nas po rewolucji, jak wszystko robili prywatne. Ziemi też nam nie dali, najmujemy się u gadziów.

Marcella: – Ja wiem, że w Polsce dzieci cierpią. Ale utrzymują siebie i dorosłych. Dlatego tu chodzą ubrane, mają jeść, śpią na łóżku, a niektóre rodzice kupują nawet telewizor.

Więc gdy pogranicznicy w Medyce zażądali haraczu (sto marek od dziecięcej głowy), Cyganie zapłacili. Mieli marki, ciułali na naprawę domów zalewanych przez wodę i na cegły. Postanowili – zostaniemy w Polsce dłużej. Zostawali ci z Comăna de Jos i z innych wiosek. Opanowali place i ulice, klatki schodowe i schody kościołów, bazary, stacje benzynowe. „Pani dobry”. „Pani daj”.

Polscy gadzie niczego o nich nie wiedzieli. Jak żyją tutaj, jak tam? Czy napadają? Czy kradną? Może roznoszą choroby? Nie wiedzieli, co czują, patrząc na ich brudne dzieci, na drżące matki w szmatach przycupnięte na chodnikach. Złość? Obrzydzenie? Triumf? Strach? Ale wiedzieli, że trzeba coś zrobić z tą armią. Co roku w Polsce koczowało dwieście tysięcy rumuńskich Cyganów. Każdemu przy wjeździe kazali okazywać pięćset marek. Tym, którzy zostawali dłużej, znakowali paszporty.

Cyganie nazywają ich stemple ferbuto – zakaz wjazdu na rok.

Calo, mąż Terezy: – Rumuny mają prywatne autobusy. Biorą towar na handel i nas. Podjeżdżają do Braszowa albo się spotykamy we wiosce. Szofery liczą sto pięćdziesiąt marek od osoby, ale znają ludzi na granicy. I nie ma znaczenia ferbuto.

Calo buduje dom. Przez cztery lata uzbierał z rodziną dwanaście tysięcy marek.

– Kiedyś byliśmy biedni, dziś każdy żyje z pieniędzy i dla pieniędzy.

Strop robi mu cieśla – gadzio. Właśnie przyszedł na obiad,

a Limalo nalewa wódki.

– Nico, powiedz, czemu Rumuny nie lubią Cyganów?

Nicolae: – Bo jeżdżą na żebry, a my nic, jesteśmy puści.

Calo: – Nie narzekaj. Masz dwadzieścia arów ziemi i narzędzia. Za dach ci płacę.

Nicolae: – Myślisz, że mi tak dobrze? Chętnie bym zapuścił brodę, założył cygański kapelusz i pojechał, tylko z kim.

– Ja cię zabiorę – mówi Calo.

Nicolae wykręca się, że jest za stary.

Co innego Gica, trzydziestolatek po maturze, Rumun. Bez brody, ale w kapeluszu.

Kiedy Gica zobaczył, że Cyganie przywożą do Comăna de Jos fajne pieniądze, naradził się z żoną i rzucił cementownię. Pojechał do Tarnowa. Pięć dni nie pił, nie jadł, nie palił. Szóstego spotkał znajomych z Comăny. Cyganie wyuczili go rzemiosła. Na przykład: żeby zdobyć fajkę, trzeba do ust przyłożyć palce i powiedzieć: „Cygare, cygare”. Po roku Gica powiększył lepiankę, ściągnął żonę i dzieci. Znow minął rok. Gica kupił używaną dacie i przy okazji prawo jazdy od znajomego Limalo.

Żona Gicy po polsku:

– Warszawa, Żabrze, Katowice, Tarnowie, Krakowie, Tarnowskie Góry... Cieść! Sto lat!

Limalo siedzi na swojej poduszce, popija kurczaka szampanem i patrzy, jak toczy się cygańskie życie. Są dzieci, umorusane, bez majtek, z gilami do pasa. Musiał wyglądać tak samo – limalo to po cygańsku smarkaty. Dzieci ciągną po podwórku stary wózek.

Są kobiety, podkładają do ognia. Nie tak je sobie tutaj wyobrażał. Dlaczego nie wplatają do warkoczy wstążek? Noszą po kilka spódnic, ale czemu nie są to już spódnice czerwone, kelderaskie? Gdy na spódnice Ewy popatrzeć pod światło, widać nogi. To miłe, ale tak być nie powinno, bo kobiety od pasa w dół są skalane. Dobrze chociaż, że noszą fartuchy chroniące przed kalającą mocą ciała, że pilnują misek: osobna dla nich, osobna dla mężczyzn, jeszcze inne do nóg, do twarzy, do prania, do płukania mięsa i fasoli.

Kuzyni Limalo podnoszą kieliszki, polewa Gica. Ten gadzio zasiedział się chyba za długo. Dobrze żyć w zgodzie, lecz Cygan musi być Cyganem. Zostają sami. Kuzyni pytają o wieści.

Rodziny się rozproszyły – matka w Rumunii, ojciec w drodze, dziecko w Polsce. Tym w Polsce Limalo załatwia noclegi w hotelach robotniczych i kontakty na bazarach, żeby żyli jak ludzie, zarabiali, zamiast żebrać. Jeździ z nimi po lekarzach, po

urzędach, na giełdy samochodowe, chroni przed deportacją, ratuje z więzienia. Przez ostatnie trzy lata wyciągnął kilkunastu aresztowanych za kradzieże i rozboje.

Opowiada kuzynom, co się komu w Polsce przytrafiło. To jest cygańska poczta, zastępuje listy, telegramy, telefony. Informuje, jak radzą sobie kelderaskie rody. Co u Ciurarów? Siedzą pod Szczecinem. A Cerhara? Byli w Warszawie, ale musieli się wynieść na Śląsk, bo ich przegonili Piculești. Buburoza? Kombinują, jak zwykle, próbują wejść w przemysł do Rosji. A co się dzieje tu, w Comănie?

Źle, Limalo. Do wuja Gocy przyszło czterech Buburozów, mieli noże. Powiedzieli, że to jest romano kris – cygański sąd. Bo Goca właśnie wrócił z żebrów. Wyciągnęli starą sprawę – podobno kiedyś przy sprzedaży konia ojciec Gocy oszukał Cygana.

Kazali mu wyrównać krzywdę i odebrali pięćset marek.

Belan na targu w Făgăraș spotkał Buburoz z Bukaresztu. Jak on się cwaniakował, bonza strugał! Mówił, że nikogo się nie boi, bo jest w rumuńskiej mafii zorganizowanej. Limalo, oni nie tylko gadziów okradają. Oni rabują Cyganów!

(...)